TEATR POLSKI WE WROCŁAWIU

Juliusz Słowacki

BALLADYNA

Dyrektor Naczelny i Artystyczny
JACEK WEKSLER

JULIUSZ SŁOWACKI
BALLADYNA

Opracowanie tekstu i reżyseria
KRYSTYNA MEISSNER

Scenografia (powtórna realizacja projektu z 1984 roku)
ALEKSANDRA SEMENOWICZ

Muzyka
ZBIGNIEW KARNECKI

Choreografia
ZBIGNIEW ŻUKOWSKI

Los mię już żaden nie może zatrwożyć,
Jasną do końca mam wybitą drogę,
Ta droga moja — żyć — cierpieć — i tworzyć,
To wszystko czynię — a więcej nie mogę.
Juliusz Słowacki

Premiera 12 stycznia 1991

GMIN

ELŻBIETA CZAPLIŃSKA, KRYSTYNA KROTOSKA, GRAŻYNA KRUKÓWNA, IGA MAYR, HALINA ŚMIELA-JACOBSON, JOLANTA ZALEWSKA, KRZYSZTOF DRACZ, MAREK FELIKSIAK, WOJCIECH KOŚCIELNIAK, FERDYNAND MATYSIK, ALBERT NARKIEWICZ, HENRYK NIEBUDEK, PAWEŁ OKOŃSKI, TADEUSZ SKORULSKI, TADEUSZ SZYMKÓW, ANDRZEJ WILK, WOJCIECH ZIEMIAŃSKI, LUCYNA WINKIEL (PWST), ADAM CYWKA (PWST)

OSOBY DRAMATU

Pustelnik, Popiel III wygnany	— ANDRZEJ WILK
Kirkor, pan zamku	— WOJCIECH KOŚCIELNIAK
Matka, wdowa	— IGA MAYR
Balladyna	— GRAŻYNA KRUKÓWNA
Alina	— JOLANTA ZALEWSKA
Filon, pasterz	— TADEUSZ SZYMKÓW
Grabiec, syn zakrystiana	— PAWEŁ OKOŃSKI
Fon Kostryn, naczelnik straży zamku Kirkora	— FERDYNAND MATYSIK
Goplana, nimfa, królowa Gopła	— ELŻBIETA CZAPLIŃSKA
Chochlik	— ADAM CYWKA (PWST)
Skierka	— MAREK FELIKSIAK

Asystent reżysera	— ANDRZEJ WILK
Asystent scenografa	— BARBARA KOTYS
Inspicjent	— JANUSZ ŁOZA
Sufler	— KATARZYNA KRAJEWIT
Światło	— KAZIMIERZ PIĄTEK
Nagranie	— HUBERT BREGULLA
Realizacja dźwięku	— ANDRZEJ GROMADA
	— MACIEJ KABATA

Witold Gombrowicz

SŁOWACKI WIELKIM POETĄ BYŁ!

— Hm... hm... A zatem dlaczego Słowacki wzbudza w nas zachwyt i miłość? Dlaczego płaczemy z poetą czytając ten cudny, harfowy poemat *W Szwajcarii*? Dlaczego, gdy słuchamy heroicznych, spiżowych strof *Króla Ducha*, wzbiera w nas poryw? I dlaczego nie możemy oderwać się od cudów i czarów *Balladyny*, a kiedy znowu skargi *Lilli Wenedy* zadźwięczą, serce rozdziera się nam na kawały? I gotowiśmy lecieć, pędzić na ratunek nieszczęsnemu królowi? Hm... dlaczego? Dlatego, panowie, że Słowacki wielkim poetą był! Wałkiewicz! Dlaczego? Niech Wałkiewicz powtórzy — dlaczego? Dlaczego zachwyt, miłość, płaczemy, poryw, serce i lecieć, pędzić? Dlaczego, Wałkiewicz? [. . .]

Dlatego, że wielkim poetą był! — powiedział Wałkiewicz, uczniowie wycinali scyzorykiem ławki albo robili małe kuleczki z papieru, najmniejsze, jak mogli, i wrzucali je do kałamarza. Był to niby staw i ryby w stawie, więc też łowili je na wędkę z włosa, ale nie udawało się, papier nie chciał chwytać. Więc włosem łechtali nos albo podpisywali się w zeszytach, raz za razem, to z zakrętasem, to bez, a jeden kaligrafował przez całą stronicę: — Dla-cze-go, dla-cze-go, dla-cze-go, Sło-wac-ki, Sło-wac-ki, Sło-wac-ki, wac-ki, wac-ki, Wa-cek, Wa-cek-Sło-wac-ki-i-musz-ka-pchła. Twarze im zbiedniały.

Nauczyciel westchnął, stłumił, spojrzał na zegarek i mówił.

— Wielkim poetą! Zapamiętajcie to sobie, bo ważne! Dlaczego kochamy? Bo był wielkim poetą. Wielkim poetą był! Nieroby, nieuki, mówię wam przecież spokojnie, wbijcie to sobie dobrze do głowy — a więc jeszcze raz powtórzę, proszę panów: wielki poeta, Juliusz Słowacki, wielki poeta, kochamy Juliusza Słowackiego i zachwycamy się jego poezjami, gdyż był on wielkim poetą. Proszę zapisać sobie temat wypracowania domowego: „Dlaczego w poezjach wielkiego poety, Juliusza Słowackiego, mieszka nieśmiertelne piękno, które zachwyt wzbudza?"

W tym miejscu wykładu jeden z uczniów zakręcił się nerwowo i zajęczał:

— Ale kiedy ja się wcale nie zachwycam! Wcale się nie zachwycam! Nie zajmuje mnie! Nie mogę wyczytać więcej jak dwie strofy, a i to mnie nie zajmuje. Boże, ratuj, jak to mnie zachwyca, kiedy mnie nie zachwyca? — Wytrzeszczył oczy i usiadł, grążąc się w jakieś bezdenne przepaście. Naiwnym tym wyznaniem aż zakrztusił się nauczyciel.

— Ciszej, na Boga! — syknął. — Gałkiewiczowi stawiam pałkę. Gałkiewicz zgubić mnie chce! Gałkiewicz chyba nie zdaje sobie sprawy, co powiedział?

GAŁKIEWICZ
Ale ja nie mogę zrozumieć! Nie mogę zrozumieć, jak zachwyca, jeśli nie zachwyca.

NAUCZYCIEL
Jak to nie zachwyca Gałkiewicza, jeśli tysiąc razy tłumaczyłem Gałkiewiczowi, że go zachwyca.

GAŁKIEWICZ
A mnie nie zachwyca.

NAUCZYCIEL
To prywatna sprawa Gałkiewicza. Jak widać, Gałkiewicz nie jest inteligentny. Innych zachwyca.
GAŁKIEWICZ
Ale, słowo honoru, nikogo nie zachwyca. Jak może zachwycać, jeśli nikt nie czyta oprócz nas, którzy jesteśmy w wieku szkolnym, i to tylko dlatego, że nas zmuszają siłą...
NAUCZYCIEL
Ciszej, na Boga! To dlatego, że niewielu jest ludzi naprawdę kulturalnych i na wysokości...

Witold Gombrowicz, *Ferdydurke*,
Wydawnictwo Literackie, 1986

Malina właściwa
Rubus idaeus L.

Pomnik Słowackiego we Wrocławiu. Poeta przebywał we Wrocławiu w okresie od 9 maja do 8 lipca 1848. Tu spotkał się z matką (20 czerwca — 6 lipca)

Choć stawiamy pomniki naszym Wielkim Duchom, te Duchy nie żyją, bo żyć nie mogą, w kamieniu, w brązie, w metalu pomników. Żyją wśród nas, obcując z nami, rozmawiając z nami, śmiejąc się i płacząc z nami. Śmiejąc się z siebie i z nas, płacząc nad sobą i nad nami. Życie ich, nieśmiertelność ich na tym i tylko na tym się zasadza: że żyją wśród nas, że rozmawiają z nami. Ta rozmowa między żywymi a zmarłymi jest warunkiem istnienia, warunkiem życia naszych Wielkich Duchów. I jest warunkiem naszego istnienia. Żyjemy o tyle, o ile zdołamy się skomunikować z naszymi zmarłymi: bo żyjemy tak, jak oni tego pragną, jak oni sobie życzą, jak oni nam każą. I oni, nasi zmarli, żyją o tyle, o ile zdołają skomunikować się z nami: bo żyją tak, jak my sobie życzymy, jak my pragniemy, jak my im każemy. Mówiąc inaczej: rozmowa między nami a naszymi Wielkimi Duchami jest niezbędnym i wystarczającym warunkiem istnienia naszej kultury. Kiedy ta rozmowa zostaje przerwana, kiedy zapada milczenie, nasza kultura, czyli nasze życie, traci sens, ponieważ nie wiemy, jak mamy żyć, i nie wiemy, po co żyjemy: gdyż tylko nasi zmarli mogą nam powiedzieć, po co ży-

jemy, i tylko oni mogą nadać sens naszemu życiu. Ale kiedy zapada milczenie, również pośmiertne życie naszych zmarłych traci wszelki sens i umierają oni po raz wtóry, śmiercią wtórą: gdyż tylko my możemy powiedzieć naszym zmarłym, po co nadal żyją i jak nadal, po raz wtóry mają żyć. Aby jednak ta rozmowa między nami a naszymi Wielkimi Duchami mogła się toczyć, musi zostać spełniony pewien istotny warunek. Taki oto: musimy uznać, że jesteśmy — choćbyśmy i mali byli duchem — jakoś jednak podobni do naszych Wielkich Duchów. I musimy zmusić te nasze Wielkie Duchy do uznania, że — choć Wielkie — to jednak są podobne do nas.

Jarosław Marek Rymkiewicz,
Juliusz Słowacki pyta o godzinę,
Czytelnik, Warszawa 1982

Rysunek Słowackiego (ze zbiorów działu rękopisów Biblioteki Ossolineum)

[DO MATKI]

Od ostatniego mego listu, w przeciągu miesiąca upłynionego, napisałem nową sztukę teatralną — niby tragedią, pod tytułem *Balladina*. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgownica urodziła, ta tragedia jest najlepszą — zwłaszcza że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nie tknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy niż ta biedna ziemia, bo idealny. Zobaczysz kiedyś, Mamo kochana, co to za dziwna kraina — i czasy. Tragedia cała podobna do starej ballady, ułożona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy. Ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca... Nie mogę tu dać Ci, kochana Mamo, wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności w mojej tragedii. Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z *Królem Learem* Szekspira. O, gdyby stanęła kiedy przy królu Learze! Szekspir i Dant są teraz moimi kochankami — i już tak jest od dwóch lat. Im więcej w obydwóch się wczytuję, tym więcej widzę piękności. Mamo moja, jaki ja byłbym szczęśliwy, gdybym mógł z tymi dwoma umarłymi usiąść pod jaką lipą — albo dębem, przed moją własną chatą — w mojej rodzinnej ziemi — i marzyć — i pisać marzenia — i gwarzyć z Tobą, kochana Mamo — i opowiadać Ci z zapałem plany moje poetyczne, tak jak niegdyś bywało. Tu jestem tak samotny, że nikt nie słucha moich marzeń. Jak dobrze Szekspir maluje ten stan w *Ryszardzie II*. Rycerz skazany na wygnanie ubolewa nad swoim losem i mówi: „Język mój będzie mi odtąd niepotrzebnym, tak właśnie jak rozstrojona lira albo harfa, lub też jak sztuczny instrument, odemknięty i podany temu, co nie zna żadnych prawideł harmonii. Uwięziłeś język w ustach moich... Zanadto już jestem stary, abym jak dziecię wziął znowu mamkę — zanadto jestem podeszły wiekiem na piastuna — wyrokiem twoim skazałeś mię na bezmówną i niemą śmierć". Te słowa zawsze czytam z głębokim smutkiem, chociaż wyznaję, że szczęśliwszy jestem niż rycerz Szekspira, bo nie potrzebuję mamki dla nauczenia mię po francusku — i mogę się rozmówić z ludźmi — ale to jednak zawsze smutno.

[z Genewy, 18 grudnia 1834 r.]

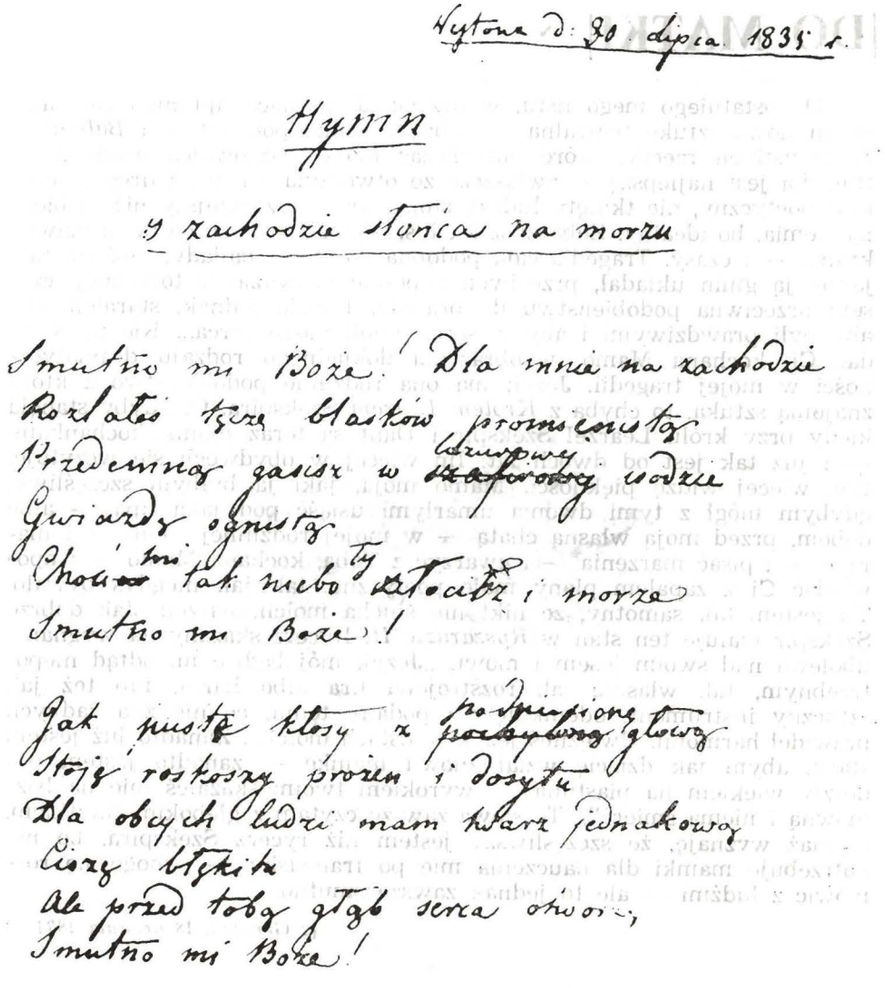

Hytona d. 30 lipca 1839 r.

Hymn

o zachodzie słońca na morzu

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą
Przedemną gasisz w ~~[illegible]~~ chmurowej wodzie
Gwiazdy ognistą
Choćby mi tak niebo stocałe i morze
Smutno mi Boże!

Jak puste kłosy z ~~[illegible]~~ pochylonej głowy
Stoją roskoszy prożni i dosytu
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową
Ciszę błękitu
Ale przed tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi Boże!

Rękopis Słowackiego

List ogłoszony jako wstęp do *Balladyny* (*Balladyna*, Paryż 1839), skierowany do Zygmunta Krasińskiego.

KOCHANY POETO RUIN!

Pozwól, że pisząc do ciebie zacznę od apologu, który mi opowiedziano nad Salaminy zatoką.

Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio przyszedł nad brzegi Morza Egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale myślał, że szum ów pochodził od zgiełku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. — Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi: a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni narzędzie i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojej smutny Greczyn nie wiedząc, że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal Egejskiego Morza utonął.

Kochany Irydionie! ta powiastka o falach i harfiarzu zastąpi wszelką do *Balladyny* **przemowę.** Wychodzi na świat Balladyna z ariostycznym uśmiechem na twarzy, obdarzona wnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie. z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa ręką ludzką szczepione. Niech naprawiacz wszelkiego bezprawia Kirkor pada ofiarą swoich czystych zamiarów; niech Grabiec miłuje kuchnią Kirkora; niechaj powietrzna Goplana kocha się w rumianym chłopie, a sentymentalny Filon szuka umyślnie męczarni miłośnych i umarłej kochanki; niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy: a jeżeli to wszystko ma wewnętrzną siłę żywota, jeżeli stworzyło się w głowie poety podług praw boskich, jeżeli natchnienie nie było gorączką, ale skutkiem tej dziwnej władzy, która szepce do ucha nigdy wprzód nie słyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy, we śnie nawet nie widziane istoty; jeżeli instynkt poetyczny był lepszym od rozsądku, który nieraz tę lub ową rzecz potępił: to Balladyna wbrew rozwadze i historii zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błyśnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości.

Uśmiechnij się teraz, Irydionie, bo oto naśladując francuskich poetów: powiem ci, że *Balladyna* jest tylko epizodem wielkiego poematu w rodzaju Ariosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedii, czyli kronik dramatycznych. Cienie już różne ludzi niebyłych wyszły ze mgły przedstworzenia i otaczają mnie ciżbą gwarzącą: potrzeba tylko, aby się zebrały w oddzielne tłumy, ażeby czyny ich ułożyły się w postacie piramidalne wypadków, a jedną po drugiej garstkę na świat wypychać będę; i sprawdzą się może sny mego dzieciństwa. Bo ileż to razy patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, rycerzy; że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie „niestety"! A za to imię moje słyszane będzie w szumie

płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęcza z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku. — O! nie mów mi, że z dzwonków polnych większa ozdoba ruinom niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta: bo choć róże rosnące na ruinach pałacu Nerona rozwidniały nam pięknie te gruzy, to jednak jaśniej mi je oświecił ów duch Irydiona, któregoś ty pod krzyżem w Koloseum położył i nakrył złotymi skrzydłami anioła.

Tak więc, kiedy ty dawne posągowe Rzymian postacie napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego, ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wiekowej wydobywam chóry prorockie — i na spotkanie twojej czarnej, piorunowej, dantejskiej chmury prowadzę lekkie, tęczowe i ariostyczne obłoki, pewny, że spotkanie się nasze w wyższej krainie nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni, z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura, większym wichrem gnana i pełniejsza piorunowego ognia, moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie.

Doniosły mi sylfy, żeś powędrował teraz odwiedzić Etnę czerwoną: posłałem natychmiast Skierkę, aby ci na drodze wszystkie pootwierał kwiaty i wszystkie gwiazdy nad tobą zapalił; za to przez wdzięczność, postanąwszy na szczycie wulkanu, spójrzyj na mórz rozległe błękity i pomyśl, że niedawnymi czasy przez te zwierciadła wędrował okręt mój, jak łabędź żaglami nakryty. Powiedz, czy nie dojrzysz jakiego rysu na fali, jakiego śladu po zniknionym okręcie? Księża wtenczas śpiewali hymn do Najświętszej Panny, a ja stałem z wlepionymi w ogień Etny oczyma, smutny, że mnie fala znów tylko do Europy odnosiła. Słuchaj w ciszy powietrznej, czy echo tego hymnu, który mi serce uciszał, nie drga dotąd w kryształowej atmosferze? Szukaj mojego śladu w powietrzu i na fali, a jeśli o mnie na fali i powietrzu nie słychać, to znajdź mnie w sercu twoim i niech ja będę jeszcze z tobą przez jedną godzinę. Wszak darem to jest Boga, że my umiemy myślą latać do siebie w odwiedziny.

Rozpisałem się długo, a zamierzyłem był tylko napisać:

AUTOROWI »IRYDIONA«
na pamiątkę
»BALLADYNĘ«
poświęca Juliusz Słowacki

Paryż, d. 9 lipca 1839 r.

Zygmunt Krasiński

KILKA SŁÓW O „BALLADYNIE"

Balladyna innego gatunku jest utworem — w niej poeta chciał wskrzesić pierwszą zorzę tego życia, którego koniec opisał w *Anhellim*. Łatwiej śmiertelnemu o śmierci niż o rodzeniu się śpiewać. Śmierć przynależy się z prawa człowiekowi, tak jak życie Bogu — przecież i Dantowi bardziej doma było w piekle niż w niebieskich podniosłościach. Mimo tę trudność, już w samym pojęciu rzeczy zastrzegłą, wydaje się nam, o ile nam czucia i myśli starczy, że *Balladyna* odziana szatą niepowszedniej piękności — nowy to zupełnie utwór na widnokresie polskim. Każda nowość razi, obraża nawet, zanim da się rozpoznać, żadna nie odjęła się temu losowi na świecie. Dotąd też *Balladynę* ujemne tylko obarczały krytyki.

W tym bogi uśmiechnęły się łaskawie greckim plemionom, a później germańskim, że im dały epopeję w czas. Co się w czas zdarza, bywa zawżdy wielkim i prawdziwym; co przed czasem, nosi zwykle znamię szału, a co po czasie, niestety, komiczności. Nie podobna odwlec rzecz o tysiąc lat i żądać po niej, by w zupełnie rodzimych barwach, w pierwotnej świeży, w nietkniętym dziewictwie na jaw wystąpiła; nie winą Słowackiego, że nie żył za dni Popiela, raczej winą czasów popielowych, że miasto szczurów i myszy nie porodziły wielkiego gęślarza, wieszcza, który by, wiążąc słowiańskie plemiona, jak struny, w olbrzymią harfę epopei, był uwiecznił kolebkę naszą tak jak Homer Grecji kolebkę, tak jak Nibelungów śpiew Germanii początek, tak jak *Divina Commedia* katolicyzmu wiarę. Dziwny, bardzo dziwny los dostał się nam w udziele: umarli, dopierośmy ściągnęli rękę do harfy! Wprzódy miecz nam był jedyną harfą, aż dziś harfa stała się mieczem jedynym. O to skarżmy na nas samych lub na bogi, ale nie na poetę, bo on się urodził w innych czasach; on, gdy śpiewa o Popielu, choć staje się Popielem, nie może być li tylko Popielem.

Do Popiela dodajcie dziesięć wieków cywilizacji zachodniej. Z tej sumy dopiero powstanie barwa popielowa, można w duchu Słowackiego — a kiedy wśród tej łuny światła zupełnie różnego, wstawszy z grobu nad Gopłem, przechadza się Popiel, nie podobna, by kolor jego właściwy nie gryzł się i nie ujadał z barwą otaczającej atmosfery, z duszą, oblewającą go, poety. Ta sprzeczność wyradza się w ironię, bo poeta sam wskrzesza zapomnianego, a gdy go wskrzesi, czuje, że ma nad nim władzę życia i śmierci bez końca, że go może sto razy z mogiły wywołać i nazad sto razy do mogiły zamknąć. Tak z Achillesem, tak z Sygfrydem nie podobna sobie wszechwładnie postąpić, bo Homer, bo duch skandynawskiej Eddy stoją tam nad nimi w przeszłości i świadczą im, i strzegą ich na wieki. O nich dziecię każde wie, że na półbogów wyrośli, a o transfiguracji Popiela kto słyszał?

Więc obejście się Słowackiego z majestatem nadgoplańskim nie tylko pochodzi z dążeń samego mistrza, ale głębiej jeszcze zapuszcza korzenie w nie odbitą konieczność, która przymusza poetę do igraszkowania z tym, co przeszło, a przechodząc nie zostawiło posągu po sobie.

Humor, czyli ciągła mieszanina tragiczności i komiczności, wystąpić tu musi jako siła tworząca. Wszystkie wady i błędy, zawarte w nie roz-

poznalnej jeszcze i nie rozwiniętej postaci Popiela przed dziesięciu wieki, a ciągiem tych wieków rozwinięte i dziś przeświadczone o sobie samych, zamienią się w diabliki, w gnomy, wcielą się w groteski, przychodzące pląsać koło tegoż Popiela. Co z niego się wymknęło, bo się wymknęło i temu nie poradzim, musi zewnętrznie stanąć przy jego boku w widomej formie, tak jak w historii następnie uwidamiało się, ale nie w poetyckiej, jedno w ludzkiej, rzeczywistej intuicji i wypadków. Wyjdzie zatem na tę scenę pośmiertną i już przegraną król Popiel zarazem tak, jak był i jakim się sam widział, i taki, jakim się stał później i jakim go wie poeta. Co tu mówim o Popielu, rozumie się oczywiście o całej treści tych czasów pierwiastkowych, których nikt nie schwytał i nie uwiecznił pod ściśle odrąbaną formą, kiedy przelatywały, a z których, wiemy jednak, żeśmy wyszli, my i wszystko nasze, i to, co nam życiem, i to, co nam śmiercią — i to, co nam chlubą, i to, co nam kałem — i to, co nam wielkością, i to, co nam próżnym blichtrem jest.

W *Balladynie* dwa światy, pierwotny sławiański i dzisiejszy krytyczny, który nosi na sobie napis *consumatum est* — plączą się i spajają nieustannie. Ta przemiana kameleońska, ta zdrada migów i przemigów, ta rozpryskliwość baniek tęczannych, słowem cały *Balladyny* koloryt już sam w sobie stanowi formę wiążącą tych światów różnice — a te różnice zetknęły się z sobą rzeczywiście, ale nie w zewnętrznej realności dziejów, tylko w wewnętrznej sumienia samego poety. Gdzie ciągle dwie sprzeczne siły działają, tam nie kształt epopeiczny, posągowy, ale dramatyczny, ruchomy powstanie. Dlatego też *Balladyna* jest dramatem, ale takim, w którym nie tak osoby z sobą walczą, jak raczej dwie epoki, z których dawniejsza ciągle pragnie się objawić majestatycznie, a późniejsza zrywa jej koronę z czoła i sądzi ją sądem potomnych, tak jak niegdyś mumie królów egipskich sądzili kapłani egipscy.

Typy jej wszystkie są szczerze polskie; któż nie uczuje, że wieczny szlachcic przemówił ustami znikomego Kirkora w tym wierszu:

Czemu nie było mnie tam na Golgocie
Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą?
Zbawiłbym Zbawcę!...

Kto, patrząc na samą Balladynę, nie przypomni sobie, jakby echem wiekowym, słów Żółkiewskiego o nieszczęśliwej Marynie:

Nade wszystko chce się babie carować.

Któż w Grabcu nie pozna karczmy polskiej żywej, chodzącej po świecie pod ludzką postacią? Starożytni podobnie ogólne pojęcia lub szereg dziejowy zdarzeń wcielali w postacie osobne, ludzkie. Mitologia wysnuła się z ogólnej władzy takiego wcielenia, wspólnej całkim ludom. Mity wtedy rosły, jak ogromne drzewa i skały pierwotnego świata, jak organizma, które sama natura wyprowadza olbrzymio i poważnie z siebie. Dziś inaczej — dziś pojedynczy człowiek, dziś sam poeta musi mit cały ukształcić, a kształcąc go wie o nim. Zbywać więc tej krystalizacji zawsze będzie na tej rodzimej harmonii, na tej świętej, choć ślepej wierze w siebie samą, na tej powadze i niewzruszoności starożytnych form, które o sobie nie wiedząc, nie mogły i o sobie wątpić. Znów tu pierwiastek uśmiechu, jak sam Słowacki się wyraża, ariostowskiego

wydobywa się na jaw i *Balladyna*, tym wyrazem przepojona, wiąże się z ciągłych wibracji, jakoby długi łańcuch woni i iskier, i dźwięków, przesuwający się na wzór Goplany, uwiązanej u taśmy z żurawi, a topniejący w przestworach niebieskich. Ale co w *Balladynie* wygląda nam na głęboką genialność, na wnętrzną energię sztuki, to jej wysnucie i wyprowadzenie z kilku wierszy pieśni gminnej. Jak najbujniejszy kwiat z marnego nasienia, tak ona z jednej zwrotki wykłuwa się, plemi, wstuliścia się i płonie, aż znów ją ogień niebieski pożre, aż, wyszła z n i c z e g o, z niewidzialności, wróci w niewidzialność. Niechaj tu nikt, gdy mówim: z n i c z e g o, nie posądza nas o myśl, czyli raczej niemyśl nicestwa. Nicestwo jest grubym, niepojętliwym fałszem — ale to n i c, skąd wszystko wyrasta i do którego wszystko wraca, stanowi tajemnicę nieskończoności. Jest to właśnie t o, c o j e s t, a samo z siebie j e s t, nie zaś z żadnej cudzej folgi lub zewnętrznego powodu.

Fragment szkicu *„Kilka słów o Juliuszu Słowackim"*. Szkic ten jest pierwszą obszerniejszą analizą twórczości Juliusza Słowackiego, ogłoszoną za jego życia. Pierwodruk: „Tygodnik Literacki", Poznań, 1841, nr 21.

Rysunek Jacka Malczewskiego „Alina i Balladyna".

Paweł Jasienica

LUDOWE POCZUCIE SPRAWIEDLIWOŚCI

Balladyna w żaden sposób nie może odegrać tej roli, jaką w poezji niemieckiej spełniają *Nibelungi*, napisane w XIII wieku, i nie tego się od niej oczekuje. Trudno jednak nie spostrzec, że ona się moralnie dostraja do tonu zapomnianej poezji ludowej polskiego średniowiecza. Czytelnik czy widz, oprócz przeżyć estetycznych, wynosi tylko jedno, ale bardzo ważne — zachętę do refleksji nad dziejami zbrodni. Nie można uważać za przypadkową zbieżność tego, co niewątpliwie wynikło z intuicji wielkiego artysty. Akcja *Balladyny* kończy się wprawdzie w gnieźnieńskim zamku, ale charakter baśni ludowej jest w utworze oczywisty. W jaki sposób wyczuł autor nutę niemych już pierwowzorów, to jego osobista tajemnica. Może był to naturalny wynik przyjętego założenia. Prawdziwa twórczość ludowa z reguły zajmuje się sądzeniem możnych, bez względu na to, kim są.

Zaraz po wojnie w jednym z naszych miast wojewódzkich zamiar wystawienia *Balladyny* napotkał nieoczekiwane trudności i spełzł na niczym. Lokalne czynniki domagały się zmiany zakończenia ostatniego aktu. Ich zdaniem nie piorun boski, lecz lud powinien zabić na scenie Balladynę. Mało było logiki w tym żądaniu. Historia poucza, że wielcy zbrodniarze równie często giną od gromu, jak z rąk pokrzywdzonego plebsu. Słowacki dokonał rzeczy o wiele bardziej cennej niż naiwna dydaktyka polityczna. Powszechne i wieczne, prawdziwie ludowe pragnienie sprawiedliwości wyraził w sposób niespotykany, a przez to samo utrwalił je i wzmocnił. Potrójny wyrok Balladyny na siebie samą to środek artystyczny nie mający odpowiednika w literaturze, której moralna wielkość wynika z jej przyrodzonej funkcji protestowania przeciwko złu.

[Z artykułu *Wizje Prapolski*, „Twórczość" 1959, nr 9]

Zygmunt Krasiński

O KRYTYCE ...

Krytyka jest siłą o dwóch kierunkach. Jeden nazwałbym dodatnim, drugi ujemnym — pierwszy albowiem uznaje i podziwia, czyli twierdzi piękność, drugi przeczy ją, czyli brak jej wytyka i wykazuje, czemu to, co szpetne, nie domaga i w chorowitości swojej, choć stara się o piękność, właśnie jest niedopięciem jej, a tym samym jakoby nie dorównoważeniem chęci i skutku, nietożsamieniem pomysłu i urzeczywistnienia. — Niedołężną na wieki pozostać musi każda krytyka wyłącznie tylko ujemna, zapatrzona ciągle w brak piękności tak, jak ślepy człowiek w brak światła — bo wytyka tylko próżnie, nie zapełnione życiem, a od życia twarz odchyla, jakby jej właściwym celem było budować gmach powtórny z wszystkich rozsypanych ułomności, wad, błędów i brzydot po świecie, kiedy owszem jej świętym powołaniem przykładać się do wzrostu i uzupełnienia tego drugiego, podpowietrznego gmachu, który unosi się ponad światem, a jednak z świata jest i świata się trzyma, jak kwiat wierzchni dolnej łodygi, jak malowne chmury widnokręgu planety, jak stan boski ducha stanu podrzędnego duszy ludzkiej — tego gmachu, mówię, coraz rozleglejszego i wyższego, rosnącego w nieskończoność, a w którego kształty widome sztuka wciela od wieków i na wieki niewidomą ideę piękności.

Coś pięknego ujrzeć, ocenić i uznać jest jedną z najwyższych ducha rozkoszy; lecz takowej zabraniają sobie zwykle krytycy — zajadłe pogańskie serce wre im w piersiach, miłością chrześcijan nie przepoili się dotąd, kochają się wściekle w ujemnym siły swojej kierunku. Ten wyłączny kierunek nie za część, za środek, ale za całość, za cel uważają — gnani tej pomyłki wiatrem, gdy wysuną się z portu, gdy rozpuszczą żagle, płyną wprawdzie, ale po wielkiej nicości.

Postaramy się, mówiąc o wielkim duchu poetyckim, któremu na imię Juliusz Słowacki, raczej wytknąć, w czym zasłużył się piękności, niż w czym przeciwko niej zgrzeszył; nie masz albowiem na tej ziemi znikomych ani życia bez grzechu, ani dzieła sztuki bez pewnej niedoskonałości, już stanowiącej, że tak powiem, koniecznością swoją tragiczność wnętrzną samego dzieła. Ta tragiczność wnętrzna dla artysty, gdy zanadto na jaw wysunięta, staje się komicznością dla widzów. Lecz my daleko tu stoim od wszelkiej takiego rodzaju śmieszności, owszem, zdaje się nam, że w dziełach Słowackiego, mimo wszelkie ujemne, przeciw nim wysypane krytyki, jest taka wiara prawdy i piękności, że przez tę wiarę ich wady zbawionymi i odkupionymi są — a gdzie zbawienie i odkupienie, tam i życia zwycięstwo.

[ze szkicu o Słowackim]

Juliusz Słowacki

LOS MIĘ JUŻ ŻADEN NIE MOŻE ZATRWOŻYĆ...

Los mię już żaden nie może zatrwożyć,
Jasną do końca mam wybitą drogę,
Ta droga moja — żyć — cierpieć — i tworzyć,
To wszystko czynię — a więcej nie mogę.

Dawniej miłością różane godziny
I w zorzach jeszcze jaśniejsze pochodnie;
Dzisiaj, przy schyłku dnia, ważniejsze czyny,
Wielkie i smętne jak słońce zachodnie.

Na nich się zegar życia zastanowi
I puści ducha-skowronka w otchłanie,
Pomóżże, Boże, temu skowronkowi,
Niech wesół leci — niech wysoko stanie.

A raczej powiem — gdy się żywot zmierzcha,
Dusza-jaskółka daleko od ziemi,
Pomóż jaskółce, co mi z oczu pierzchła
Z oczkami w światło rozweselonemi.

Zastępca dyrektora d/s technicznych: KRZYSZTOF TENEROWICZ
Kierownik techniczny: ADAM SADURA
Zastępca kierownika d/s eksploatacji: BOLESŁAW BAŃSKI
Brygadier sceny Teatru Polskiego: KAZIMIERZ BLACHARSKI

Kierownicy pracowni:

krawieckiej damskiej: WŁADYSŁAWA MASZTALERZ
krawieckiej męskiej: GRZEGORZ RAGAN
perukarskiej: ZOFIA HEJNE-BREGULLA
szewskiej: JERZY PORZYCZEK
modelarskiej: ANDRZEJ GEMBORYS
stolarskiej: JERZY DOMŻALSKI
malarskiej: MAREK BAZYLOW
tapicerskiej: WŁODZIMIERZ POMORSKI
ślusarskiej: LESZEK NOWAK
elektroakustycznej: HUBERT BREGULLA
elektrotechnicznej: KAZIMIERZ PIĄTEK

Kierownik Biura Obsługi Widzów: NINA KAISER

Zamówienia na bilety zbiorowe przyjmuje codziennie w godz. 9—16 Biuro Obsługi Widzów ul. Zapolskiej 3, tel. 387-89 oraz 386-53, w. 91.

Redakcja programu: MARIA DĘBICZ
Projekt obładki i opracowanie graficzne: JOANNA BARYLIŃSKA
Fotografie i reprodukcje: ADAM HAWAŁEJ

TEATR POLSKI
ul. Zapolskiej 3
50-032 Wrocław

TEATR KAMERALNY
ul. Świdnicka 28
tel. 44-62-01

Cena: 2.000 zł

Druk: *ANTIQUA* Wrocław, Czeska 21 b — 92/90 — 8.000

Instytut Teatralny
ze zbiorów Polskiego Ośrodka ITI